

## Gabryela Morska-Popławska.

Objawsz dyrekcyę krakowskiego teatru, p. Solski rozwijając plan swojej przyszłej działalności na tak odpowiedzialnem stanowisku, oświadczył w interwiewie jednemu z dziennikarzy, że ma zamiar repertuar teatralny, który zwłaszcza w ostatnim roku tak nisko upadł, podnieść i nadać mu ton więcej europejski, godny pierwszej polskiej sceny. Wymienił też cały szereg najznakomitszych dzieł literatury naszej, swojskiej i zagranicznej, które ma zamiar wystawić w bieżącym sezonie. Między innymi mają być grane dzieła Wyspiańskiego, które jeszcze nie były grane, utwory Przybyszewskiego, Kasprowicza, Staffa, Orkana, poza tem szereg arcydzieł, jakie w ostatnich czasach wydała zagranica, ze szczególnem uwzględnieniem wysuwającej się dziś na czoło wszystkich literatur, literatury rosyjskiej.

Bardzo ładnie. Program wspaniały, ale — i tu jest „ale“. Patrząc na personal teatralny, jaki ma do rozporządzenia p. Solski, mimowoli przychodzi nam na myśl, że ten program cały, to — jak mówi Wyspiański — tylko: „słowa, słowa i... słowa“...

I rzeczywiście. Personal taki, jaki obecnie jest w teatrze krakowskim, jest tak słabym, że nawet marzyć nie można, aby te rzeczy, o jakich mówił p. Solski, można było kiedyś na naszej scenie wystawić. Przecież w tym całym składzie trupy teatralnej, jest zaledwie kilka sił, które zasługują na miano artystów, zwłaszcza teraz, kiedy ze sceny tej ubyły siły takie, jak pp. Mrozowska, Mielewski i Frączkowski. Trupa, w takim składzie, jak dzisiaj, jest raczej „szkołą dramatyczną“, a nie trupą miejskiego teatru w Krakowie. Narzekano za dyrekcyi Kotarbińskich, że personal jest ogromnie słaby, dzienniki wypisywały piorunujące mowy i groziły, że „autorzy“ nie będą dawać sztuk do teatru, bo ich niema kto grać, a przecież teraz jest



faktem, że personal ten jest jeszcze słabszy, że wyrugowano zeń najlepsze siły, a zaangażowano na ich miejsce miernoty. Z jakich pobudek? W to nie chcemy wchodzić. Ale faktem jest także, że siły są, i to zdolne, a p. Solski ich nie angażuje.

Szczególnie słaby jest personal kobiecy. Są za, ledwie trzy artystki, które ratują jeszcze sytuację a to panie: Solska, Wysocka i Ordonówna. A to jeżeli się marzy o wystawianiu arcydzieł, jest stanowczo za mało! I nie możemy rzeczywiście zrozumieć, dlaczego p. Solski nie zangażuje np. pani Morskiej-Popławskiej. Przecież to artystka, którą każda scena polska chlubić się może, przed którą zagranica chyliła czoło i wieńczyła ją wawrzynami. Pamiętne są przecież jej słynne występy w teatrze „Globe“ w Londynie, jej kolosalne tryumfy w Petersburgu. Chlubiła się nią Warszawa, Łódź i Poznań i Kraków zachwycał się nią czas dłuższy. System oszczędnościowy pp. Kotarbińskich zmusił ją do ustąpienia ze sceny krakowskiej, ale jesteśmy przekonani, że Kraków powitałby ją znowu owacyjnie, gdyby ją ujrzał na naszej scenie.

Pani Morska, jedna z najlepszych Klar, jakie się w ostatnich czasach ukazały na scenie w „Ślubach panieńskich“, artystka o wielkim talencie, pełna temperamentu, przytem o nader sympatycznym wyglądzie, byłaby dla sceny naszej siłą nie „użyteczną“, ona jest wobec tych wszystkich miernot „niezbędną“ i powtarzamy, że nie rozumiemy, dlaczego p. Solski nie korzysta ze sposobności, by taką siłą zaangażować. Przecież bez niej trudno wystawić Fredrę, a niema artystki, któraby ją mogła zastąpić w „Odrodzeniu“, w „Hardych duszach“, w „Flipocie“ itd. itd. Brak jej już teraz daje się na scenie dotkliwie odczuwać, a cóż dopiero mówić o „wielkim repertuarze“?!

W takiej „szkole dramatycznej“, jaką jest obecnie teatr krakowski, potrzeba sił, żeby móż „cokolwiek“ wystawiać. Już teraz publiczność sarką, a przecie teraz grają ciągle sztuki stare i ograne. Trzeba ratunku na gwałt, a ratunek jest tylko jeden: zaangażować siły wybitniejsze i zerwać ze systemem oszczędnościowym, który widocznie i p. Solski chce wprowadzić.

## Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

10

(Dokończenie).

— Pozdrów odemnie twą matkę.

Soszino odrzekła:

— Dobrze. Cierpliwości.

Kosziro skinął głową.

Dziewczę wyszło z pokoju.

Gdyby wiedziała, że miecz przez nią zabrany, pozostanie jej na pamiątkę i że ostrzem jego utnie sobie włosy.

IV.

Harakiri.

Płomień lampy rzuca blade światło. Powietrze, przenikające przez szparę okna, rozdmuchuje i podnieca chwilowo płomień.

Na łóżu, zasłoniętym parawanem, siedzi Kosziro bardzo blade. Ciało jego wychudło. Opiera się on na swym mieczu i po hyla głowę, tak, iż jego długie włosy w dół opadają.

Dziś po raz ostatni ogląda siebie. Zdecydował się umrzeć. Lecz póki serce jego bije, władają nim myśli o ziemi. Myśli o żonie swej.

„Nazywa się Wakabą — „młody listek“. Podobna jest bardziej do kwiatka. Wszyscy zachwycają się jej pięknosciami i charakter jej godny jest miłości i ona mnie kocha. Mówią, iż nawet myśliwy nie zabija ptaka, tulącego się w przestrachu do piersi, ptak nie umie mówić i nie odczuwa namiętności, myśliwy przywykł do widoku śmierci i serce jego jest twarde. A jednak nie zabija on ptaka.

Nie zapomniałem Soszino, towarzyszkę mej młodości, lecz żyłem przecież połowę miesiąca z Wakabą; czyż mogłem jej nie pokochać. Jak ona będzie nad tem ubolewać. Czyż nie umrze ona ze smutku? Przyczyniłem jej cierpienia stokroć gorzej od śmierci. Czyż tak należało postępować? Żegnając ją, uśmiechałem się fałszywie i mówiłem jej pieszczotliwe słowa, by ulżyć jej rozstanie. Biedna kobieta!“

Kosziro myślał o chwili rozstania z żoną.

„Było to w latym. Poranek wiosenny. Śnieg pokrywa ziemię; pływały szare obłoki... Słońce nie wypłynęło jeszcze na niebo; było ciemno. Płaczące wierzby szumiały; paki ich nieco nabrzmiały; lecz z zimna nie można było ustać na miejscu.

Szron osiadł na pancerzu. Rozlegało się pianie koguta. Z domu wyszedł młodzieniec, a z nim piękna kobieta. Trzymała go prawą ręką, lewą poprawia mu broń. Koło domu siedział żołnierz w lek-

kiem uzbrojeniu. Poznał swego pana i podał mu słomiane sandały.

— Zaświtało — rzekł żołnierz.

Młody rycerz kiwnął tylko głową, wdział sandały i rzekł:

— Wakabo, podaj mi hełm.

Wtedy żołnierz podszedł do kobiety i wziął z rąk jej hełm.

Mąż i żona spojrzeli na siebie.

Stali nieruchomo, nie wyrzekli ani słowa.

Czworo oczu spoglądało na siebie coraz głębiej. Oto spadła kropla z oczu Morizane.

Żołnierz liczył gwiazdy na hełmie i spoglądał w stronę.

Wakabe głośno załkała; Morizane pochwycił ją za rękę i chciał objąć, lecz w tej chwili żołnierz się spojrzął. Morizane puścił jej rękę; cofnął się o krok.

Wakabe zawołała:

— Jeszcze jedna chwila! — I pochwyciła za rękę miecza.

Kosziro opuścił rękę i krzyknął:

— Żegnaj i bądź zdrowa! Idziemy, Rokurato!

Wakabe przykucnęła i rzekła drżącym głosem:

— Żegnaj!

Podniosła się szybko i odprowadziła ich do bramy. Patrzyła za oddalającymi się.

Są jeszcze niedaleko. Słychać brzęk pancerza. Chce zawołać, lecz wstyd jej przed żołnierzem, opiera się o bramę. Ciało jej drży; pierś faluje.

Raz jeszcze spogląda za nimi. Postacie ich maleją. Lewy pancerz biały — to jej mąż! Oto rozstajne drogi. Postacie zbliżają się ku sobie. Oto tam błyszczy halabarda. Należy ona do mojego męża. Teraz obie postacie znikają w mgle.

W oczach jej ciemnieje; ociera łzy i znów spogląda w dal. Lecz nic więcej nie widać.

Wakabe mocno opiera się o pień, lecz jest zbolala; wszystkie członki ją bolą, oczy nabrzmiały, źrenice nie poruszają się; myśli płaczą. Niema już smutku ani miłości, ani męża. Nawet o sobie Wakabe nie myśli więcej.

Zdala dochodzi odgłos dzwonów surm wojennych. Wakabe oprzytomniała. Przymyka oczy i składa ręce:

— Hahimanie, wielki boże wojny!

Morizane rzekł do siebie:

— To są kobiece myśli!

Wyciągnął długi miecz. Soszino zabrała krótki. Obejmował klingę od ostrza do rękojeści i od rękojeści do ostrza; na przestrzeni pięciu cali od rękojeści widniała kropla krwi. Morizane uśmiechnął się. Pozostało to po ostatniej walce z żołnierzem. Miecz powinien zabijać wrogów, a teraz użyje go

do „harakiri“. Czyż spodziewał się tego? Lecz, jeśli teraz nie umrę, sprzeniewierzę się memu panu. Nie mogę wypełnić obowiązku względem wuja i żony. Miecz poprowadzi mnie w życie zagrobowe, do moich rodziców. Miecz pomoże mi zachować wierność swemu panu; spełnić obowiązek rycerza. Chociaż miecz ten nie broni mojego ciała, jednak jest mi wierny. Chętniebym zemścił się na nieprzyjacieli przed śmiercią, lecz wuj mnie powstrzymywał. Mieczu, nie mogę nasycić twego pragnienia krwi, nie mogę wynagrodzić twoich zasług. W tem jest mój błąd. Jeśli posiadasz duszę, poczujesz, że masz złego pana. Teraz musisz jeszcze rozpruć brzuch tego człowieka i będziesz się tego wstydział. Gdy później wynajdziesz sobie innego pana, nie powiem nikomu, że to ja cię nosiłem. Inaczej, będą się z ciebie wyśmiewać, żeś należał do tak marnego rycerza; nikt nie zechce cię nosić i klinga twoja zardzewieje w kącie. Mieczu mój — dziedziec twojego ojca. Spieszę do moich rodziców.

Kosziro owinał klingę rękawem i pozostawił wolnem tylko ostrze. Odpiął ubranie, obnażając pierś.

Chciałby pozostawić list swemu wujowi, by mu podziękować, lecz rany od strzał przeszkadzają mu pisać. Jutro przyjedzie wuj zdrowy i szczęśliwy. Moi zaś towarzysze poginęli, pan mój zginął smutną śmiercią. Czyż mogę winać szczęścia wujowi?

Kochał mnie bardzo, bardzo się zasmuci. Być może, żona jego się rozchoruje. Jest bardzo słaba, a mimo to chodzi codzień do świątyni. Gdyby był teraz wolny, napisałbym do Wakaby, iż jestem zdrowy. Wakaba się pewnie niepokoi. A ty, Soszino, zapomnij o mnie. Takim jest przeznaczenie! Gdy powtórnie żyć będę na ziemi, połączymy się na zawsze. Nie zapomnę twej twarzy a i ty nie zapomnij o mnie. Wybacz mi zło, które ci wyrządziłem i strzeż się, by nie rozchorować się ze smutku i nie zaniepokoić swych rodziców. Jest to ostatnie moje życzenie.

Rozległ się dzwon, obwieszczający północ.

„Amida Budda, bądź mi miłościwi!“

Kosziro zatopił miecz w swój brzuch. Z rany trysnęła krew. Ręka jego drżała. Przygryzł mocno wargi i pięścią ciął dalej w prawą stronę...

— Byłaś narzeczoną Morizane — rzekła Wakabe.

Przybyła odrzekła jej:

— Tyś była żoną Morizane.

Spojrzwały na siebie,

Czerwone promienie jutrzeńki padały przez okno. Minęła noc.

K O N I E C.